

Jerzy Stempowski: O czernieniu papieru

Nawet znaki stawiane na chybił trafił mogą przynieść uderzające niespodzianki, cóż dopiero słowa oszlifowane przez wirtuozów pisma! Ułożone przez nich wyrazy odrywają się od ich związku z autorem i zaczynają żyć samodzielnie, podobne do drogich kamieni, talizmanów i fetyszów obiecujących fikcyjną fortunę i skrywanych zazdrośnie w pamięci – publikujemy felieton Jerzego Stempowskiego w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Stempowski – przechodzień wśród ruin”.

Pisanie nie jest dla mnie nowością, ale nigdy nie miałem przekonania do takiego spędzania czasu. Zawsze, dziś w większym stopniu niż kiedykolwiek, miałem poczucie, że takie zajęcie wymaga ode mnie jakiegoś szczególnego umotywowania lub usprawiedliwienia. Przypuszczam, że nie jestem w tym uczuciu odosobniony i że brak usprawiedliwienia - bardziej niż wszystkie względy oportunistyczne - popychał pisarzy do oceny ich działalności z punktu widzenia użyteczności społecznej.

Znaczną część dzieciństwa i młodości spędziłem wśród ludzi piszących, poprawiających korekty i oddających się innym zajęciom literackim, prowadzącym rzadko do jakichś godnych uwagi wyników. W naszym wieku są one zapewne ubocznym produktem maszyn drukarskich i fabryk papieru, które - jak maszyny w ogóle - nie mogą pozostawać niezatrudnione.

Z wczesnego zapoznania się z mechanizmem pisania i druku wyniosłem przekonanie, że nie ma żadnej obiektywnej potrzeby pomnażania olbrzymiej produkcji słowa drukowanego. Nawet najpilniejszy czytelnik nie potrafi wyczerpać wybranego przez siebie programu lektur. Poczytywałem więc sobie niemal za zasługę powstrzymywanie się od czernienia papieru.

Pisać zacząłem późno, w 36. roku życia, dla przyczyn przypadkowych, w okresie szczególnie ubogim w rozrywki. Patrząc dziś z oddalenia, nie jestem pewny, czy zacząłbym pisać, gdybym miał w tym czasie możliwość bardziej systematycznego zajmowania się muzyką lub udania się w daleką podróż. Być może sprzykrzyłbym sobie prędko te rozrywki, ale być może starczyłoby ich na czas, który zużyłem na pierwsze próby czernienia pióra.

Nietaktownie być może jest pisać o tym w książce, która może być czytana przez literatów, pisanie było jednak za wszystkich czasów zajęciem *minorum gentium*[1]. Brali się do niego wprawdzie panujący *Dei gratia*[2] w chwilach przewielebnej skruchy na widok mizernych wyników ich panowania, ministrowie w niełasce, ambasadorzy zmuszeni do życia ze skromnej emerytury, a wreszcie i deputaci, którym lud odmówił mandatu, wysyłając do stolicy lepszego demagoga, i którzy przez kilka lat musieli czekać na otwarcie nowej kampanii wyborczej. Główny wszakże trzon piszących stanowili ludzie poszukujący w słowie kompensaty za to wszystko, czego życie im odmówiło lub w ogóle nikomu dostarczyć nie mogło.

Umiejętność stawiania na papierze znaków skrywała w sobie zawsze zbliżone do czarnoksiężstwa możliwości tworzenia fikcji olśniewających samego eksperymentatora. W młodości widziałem dadaistów klejących uroczyście na ścianie wyrazy wycięte z gazety i zmieszane w kapeluszu. Z wyrazów tych układało się coś w rodzaju wierszy pełnych nieoczekiwanych skojarzeń. Surrealiści wzięli te możliwości na serio, próbując tzw. *écriture automatique*[3].

Nawet znaki stawiane na chybił trafił mogą przynieść uderzające niespodzianki, cóż dopiero słowa oszlifowane przez wirtuozów pisma! Ułożone przez nich wyrazy odrywają się od ich związku z autorem i zaczynają żyć samodzielnie, podobne do drogich kamieni, talizmanów i fetyszów obiecujących fikcyjną fortunę i skrywaną zazdrośnie w pamięci.

*L'étoile a pleuré rose au cœur de tes oreilles,
L'infini routé blanc de ta nuque à tes reins,
La mer a perlé rousse a tes mammes vermeilles
Et rhomme saigne noir à ton flanc souverain*[4].

Władza tworzenia takich formuł słownych, które nawet w kilkadziesiąt lub kilkaset lat później zaprzatają przez dłuższy czas naszą uwagę i zostawiają niezatarte ślady na mijających godzinach, warta jest zapewne władzy rozkazywania. Tak ją też oceniano, bo tym, którzy ją posiadli, oddawano za wszystkich czasów honory przysługujące wodzom i panującym. Nie ma więc zapewne racji Martialis, kiedy, mówiąc o karierze zbogaconego szewca, wyrzuca rodzicom, że dali mu tylko wykształcenie literackie: *At me litterulis stulti docuere*

parentes. Zresztą i Martialisa, i Horacego, i wszystkich ich następców do Tuwima włącznie rozpierała duma z posiadania magicznej władzy nad słowem, zwanej także skromnie rzemiosłem poetyckim.

Wszystko to jednak warte jest tylko dla poezji. Proza nie czerpie tej siły z magii, lecz z jasności myśli porządkującej chaos zjawisk.

Czarnoksiężstwo słowa jest tu rzeczą podrzędną. Nawet retorzy są zgodni w tym, że najwymowniejszy jest ten, kto ma najważniejszą rzecz do obwieszczenia, chociażby mówił nieokrzesanym narzeczem.

Potrzeba porządkowania i opanowywania myślą otaczających zjawisk wydaje się zresztą funkcją autonomiczną niedającą żadnego bezpośredniego impulsu do pisania. Potrzeba propagowania swej myśli i narzucania jej innym jest już czymś zgoła odmiennym, czego najlepszym dowodem jest fakt, że nie sprzyja zazwyczaj jasności i rzetelności wypowiedzi. Kokietowanie jasnością myśli i uleganie wszystkim innym pobudkom stanowi wewnętrzną sprzeczność prozy.

Wyjście z milczenia, które zdaje się być właściwą postawą myśli, jest pewnego rodzaju odstępstwem od jej ambicji. Wymaga parania się słowem, tworzywem niepewnym, na przemian zbyt opornym lub zbyt płynnym, posłusznym prawom innym od praw myśli i wydającym przy manipulowaniu nim nieoczekiwane iskry i zgrzyty.

Paranie się słowem, zwłaszcza pisaniem, nieoddającym dokładnie ani majaczenia, ani rozumowania ścisłego, wymaga wyrzeczenia się wielu ambicji, uproszczenia się do poziomu kucharza, który – nie znając chemii i fizjologii – w prostocie ducha miesza w garnku przyniesione z rynku wiktuały.

Jerzy Stempowski

Felieton pochodzi z książki *Po powodzi. Eseje i inne dzienniki podróży* wydanej przez Instytut Literacki Kultura – Instytut Książki.

<http://kulturaparyska.com/pl/aktualnosci/8/promocja-esejow-j-stempowskiego>

Foto: www.wojciechkarpinski.com

[1] [Minorum gentium (łac.) - pośledniego rodzaju.]

[2] [Dei gratia (łac.) - z Bożej łaski.]

[3] [Écriture automatique (fr.) - pismo automatyczne.]

[4] [L'étoile a pleuré rose au cœur de tes oreilles... (fr.) - Gwiazda w muszli twych uszu płakała różowo, / Bezkres biało z twych ramion na biodra się stoczył, / Morze spłoniło wzgórze twych piersi perłowo, / A człowiek na twym łonie czarno krwią się zboczył (J.A. Rimbaud, Czterowersz, przeł. J. Tuwim).]